

Różewicz i szalone krowy

Czy warto na siłę wzbogacać i tak już obfity w znaczenia dramat Różewicza? A jeśli nawet, to czy koniecznie za pomocą tanich chwytów, rodem z teatru bulwarowego? - o spektaklu "Stara kobieta wysiaduje" w reż. Henryka Baranowskiego w Teatrze Ludowym w Krakowie pisze Gabriela Detka z Nowej Sily Krytycznej.

Zapowiedzi łudziły i kusiły: miała być stworzona z wielkim rozmachem inscenizacja znakomitego dramatu Tadeusza Różewicza, szokująca sceniczna satyra na bezkształt współczesnej cywilizacji. Teatr miał zatrzęść się w posadach z powodu bijącej ze sceny filozoficznej prawdy, a widz miał zostać egzystencjalnie dotknięty, "uderzony mocnym obrazem" (sic!) i tym samym zmuszony do refleksji nad kondycją współczesnego świata. Anna Polony miała, niczym archaiczna bogini, chronić i podtrzymywać upadające ludzkie życie, zarażać energią i biologiczną aktywnością. Zapowiedzi były szumne i imponujące. Po spektaklu został jedynie niesmak, rozczarowanie i naiwne pytanie o sens.

Jaki związek z dramatem Różewicza mogą mieć Condoleezza Rice, Robert DeNiro i Kofi Annan? Albo priony i embargo na brytyjskie mięso? Henryk Baranowski w swoim najnowszym spektaklu najwyraźniej postanowił rozbudzić leniwego widza i urządzić mu test na inteligencję. Odpowiedź na zadane pytanie okazała się banalna, ale zgodnie ze starą prawdą, która mówi, że najciemniej pod latarnią, naiwny widz mógł się nie zorientować. I choć obecność Leszka Kołakowskiego można jeszcze zrozumieć (wszak i sam dramaturg filozoficznym laikiem nie był), to wyżej wymienione osoby i zjawiska z dramatem Różewicza nie mają oczywiście nic wspólnego. Za to bardzo ścisły związek łączy je ze spektaklem. Reżyser najwyraźniej stwierdził, że dramat sam się nie obroni, że nie jest dostatecznie uniwersalny, a zawarta w nim wizja świata to za mało, aby wzruszyć dzisiejszego niewrażliwego widza. I "uzupełnił" tekst Różewicza elementami niezbędnymi do prezentacji problemów współczesnego świata. Pomysł, niestety, nie okazał się trafiony, bo zamiast apokaliptycznej wizji cywilizacji zdehumanizowanej i zagrożonej zagładą, otrzymujemy sporą dawkę informacji na temat choroby szalonych krów i smutnych losów owieczki Dolly. Oczywiście, problemy te są poważne i sztuka zaangażowana społecznie nie powinna ich omijać czy bagatelizować. Ale czy rzeczywiście warto nimi "wzbogacać" dramat Różewicza i tak dość obfity w znaczenia? A jeśli nawet, to czy koniecznie za pomocą tanich chwytów, rodem z teatru bulwarowego?

Pierwszy akt rozgrywa się w kawiarni. Kilka przykrytych białymi obrusami stolików, brązowe parawany, kredens, trochę rupieci. W głębi sceny, na wprost widowni wielkie okno oklejone strzępkami gazet. Po lewej stronie siedzi Stara Kobieta (Anna Polony). Ubrana w niebiesko-zieloną warstwową suknię i wielki turkusowy kapelusz z piórkiem, sprawia wrażenie damy z zamierzchłej epoki. Jej wysmakowaną elegancję zaburzają zwisające z sukni kawałki tkanin, fragmenty robótek ręcznych. Kobieta próbuje zainteresować sobą młodego Kelnera (Tomasz Schimscheiner), który z nieukrywaniem obrzydzeniem i lękiem usiłuje spełniać jej zachcianki. Za oknem toczy się III wojna światowa, wszyscy prawdziwi mężczyźni polegli na polu walki, woda jest reglamentowana, wyje syrena karetki pogotowia i słychać szum samochodów. Kiedy okno zostaje na chwilę uchylone, do wnętrza kawiarni wlewa się tłum ludzi. W pewnym momencie, tanecznym krokiem na scenę wchodzi trzech śmieciarzy, którzy wyśpiewując didaskalia (ukłon w stronę Brechta?), wprowadzają Piękną Dziewczynę. Modnie ubrana, ponętna długonoga blondynka skupia na sobie uwagę Kelnera, co wywołuje złość i zazdrość Starej Kobiety. Sytuacja jednak szybko się rozwiązuje, Piękna Dziewczyna zostaje wywieziona za scenę w kontenerze na odpady przez śpiewających śmieciarzy. Stara Kobieta kokietuje mężczyznę coraz intensywniej, a gdy jej zaloty okazują się nieskuteczne, zaczyna wydawać polecenia.

Od Kelnera domaga się pieśzczoł kompleksowych, od stóp do głów, ale jej życzenie nie zostaje spełnione, bo w dziedzinie miłości mężczyzna okazuje się zupełnym laikiem. Bezpłodna dotąd, Stara Kobieta, pragnie mieć dzieci, chce ponownie zaludnić wymierającą ziemię. Pragnie rodzić i tuczyć się, aby zapewnić sobie i swojemu gatunkowi przetrwanie, ale jakoś trudno uwierzyć w jej słowa. Anna Polony wypowiada je z taką gracją i wdziękiem, jakby nie dotyczyły najpierwotniejszych ludzkich instynktów biologicznych. Jej determinizm jest zaskakująco elegancki, czysty, wręcz naiwny, zwłaszcza w scenie z Lekarzem. A wdzięk i gracja, są chyba nie na miejscu, zwłaszcza, że pierwszy akt kończy się sceną porodu: Stara Kobieta siedząc okrakiem na kawiarnianym stoliku wykrzykuje swoją nieposkromioną chęć bezustannego wydawania na świat jak największej ilości dzieci. Ostatni bastion wyżu demograficznego z zachowaniem zasad *savoir vivre*'u.

Gdy po trzydziestominutowym antrakcie podnosi się kurtyna, z kawiarni nie zostaje nic. Na jej miejscu pojawia się bliżej niezidentyfikowana przestrzeń, przedzielona follową zasłoną.

Prześwitują przez nią wielkie piętrowe łózka - ni to wojskowe prycze, ni łóżeczka dziecięce - na których leżą stare walizki i foliowe worki. Pośrodku czarny kontener na śmieci. Za kurtyną niemy tłum: maszerujący w zwolnionym tempie żołnierz, przechodnie czytający gazety, dzieci w wózkach. Przy stoliku z lewej strony sceny siedzi Stara Kobieta. Ubrana w czarno-białą sukienkę i różowy sweterek wydaje się znacznie młodsza, spokojniejsza i bardziej radosna, niż w pierwszym akcie. Z nadzieją patrzy przyszłość i spokojnie dzierga na drutach białe, wełniane śpioszki. Wokół niej, na podłodze, leżą jej trzy córki: Kloto, Lachezis i Atropos, które z mitycznymi Mojrami wspólne mają jedynie imiona. Ubrane w pomarańczowe, zielone i niebieskie kostiumy, utrzymane w dyskotekowej estetyce (getry, bluzy, spódniczki, tenisówki), są pełne trywialnej witalności, cukierkowe i banalne. Czytają kolorowe "kobiece" pisemka, ćwiczą, bawią się laptopem, jedzą. We wszystkim naśladują matkę - powtarzają jej słowa, gesty.

Obok Cyryl walczy z muchami i włosami w nosie Pana dystygowanego, spośród tłumy wyłania się Ślepiec. Jazzband brawurowo wykonuje piosenkę o kwantach, prionach i demonach, do rytmu której zgrabnie pląsają córki Starej Kobiety, powracający z wojny Kelner-dezertier, zaczyna wątpić w Boga. Stara Kobieta krzyczy, że wszyscy powinni rodzic, między innymi wspomniani już Leszek Kołakowski i Condoleezza Rice. W pewnym momencie foliowa kurtyna podnosi się i tłum zaczyna tańczyć, Młodzieniec gra na saksofonie, robi się ogólne zamieszanie zakończone wejściem Policjanta. Widać nie ma on za grosz poczucia humoru, a trójkąt zawieszony na lufie pistoletu wcale go nie bawi. Sytuację rozwiązuje niema, niezbyt przejmująca scena zabójstwa Młodzieńca. Samotna Stara Kobieta w półmroku woła swojego jedyne go syna. Niestety na próżno. Gdy uświadamia sobie, że chłopak nie żyje, powoli zapada się w ziemię, schodzi do krainy cieni. Ale bez wstrząsu - to tylko teatralna zapadnia.

Twórcom spektaklu nie udało się oddać najważniejszych sensów zawartych w dramacie Różewicza: ani głęboko zanalizować kondycji współczesnego świata, ani obnażyć ciemnych stron ludzkich instynktów biologicznych. Udało im się za to stworzyć teatralną bombonierkę, nadziewaną efektownymi chwykami scenicznymi, które w nadmiarze mogą wywołać w widza lekką niestrawność. Lekką, bo taka też jest forma spektaklu. Dramat został ujęty w ramy komedijki obyczajowej z elementami wodewilu. Brakowało tylko happy endu i fajerwerków na zakończenie, chociaż rozwiązanie ostatniej sceny na zasadzie "deus ex machina" razi równie mocno, jak przesadny optymizm całego przedstawienia. Gdzie w tym wszystkim Różewicz? Gdzie wielkie aktorstwo? W zapowiedzi, chciałoby się rzec. No cóż, nie wszystku można mieć, Niestety. Ale może lepiej nie chwalić spektaklu, zanim pomyślnie przejdzie próbę sceny? Ot, żeby nie zapeszyć.

Gabriela Detka
Nowa Siła Krytyczna
08-12-2006